



DZIEMIDOK¹

Miałem napisać recenzję z książki, która ukazała się w gdańskim wydawnictwie Słowo/ obraz terytoria. Książka nosi tytuł *O komizmie. Od Arystotelesa do dzisiaj*, jej autorem jest Bohdan Dziemidok, antologię tekstów opracowała – sporo z nich tłumacząc z języka angielskiego i rosyjskiego – Monika Bokiniec. Praca ta, pewnie w związku z możliwością ministerialnego dofinansowania, określona jest jako podręcznik akademicki, czyli coś podręcznego, systematyzującego wiedzę z jakiejś dziedziny, przydatnego do uczenia się. Pomijam mało „podręczny” rozmiar tomu (530 stron znacznego formatu). Ważniejsza jest jego zawartość treściowa, nie pozostawiająca wątpliwości, że jest to poważna monografia, studium tematyczne. Jego lektura szybko uświadomiła mi brak kompetencji do wydawania jakichkolwiek sądów związanych z poruszonymi tu zagadnieniami.

Zatem – nie recenzja, ale garść uwag oraz dość rozległych asocjacji. Są zresztą związane bardziej z Autorem, którego znam od wielu lat niż z jego dziełem. Zacznę jednak od dzieła, od okładki. Jej projekt był od

początku powodem niemałej irytacji Dziemidoka, który nie widział w nim niczego, co korespondowałoby z treścią (jakże trafna okazuje się angielska sentencja: *Don't judge the book by its cover!*). Bo i rzeczywistość – widniejąca na okładce postać to nic innego, jak jakiś zwierzoczkoupiór, bestia wzięta z jungowskich archetypów lękowych. Układ głowy, szyi i ramion przypomina znany wizerunek Wieszcza. Także bujne, zaczesane do góry włosy. Tyle że włosy te, nie wiedzieć kiedy, stają się sierścią. Niżej nos szeroki jak usta, też przecież nie wąskie. Jedno oko, za to ogromne, zajmujące całe czoło. Wywrócone do góry. Widać dwanaście, chyba górnych, zębów, kto wie, ile pozostało niewidocznych. Ale, ale... Zęby widoczne są dlatego, że odsłaniają je usta rozciągnięte w grymasie, który może – choć nie jest to pewne – oznaczać uśmiech. Śmieje się człowiek, jedyna istota obdarzona twarzą. Śmiech, to – obok płaczu – najbardziej pierwotna forma ludzkiej ekspresji. Dla wielu antropologów (m.in. dla Johana Huizingi) stanowi wręcz podstawowy wyraz człowieczeństwa. Więc albo postać z okładki jest jednak człowiekiem – albo nieprawdziwa jest teza o wyłącznie ludzkiej naturze

¹ Jest to przedruk z książki *Owoc tamtego grzechu*, Gdańsk 2013.

twarzy. (Ku tej drugiej możliwości skłania się wielu właścicieli psów, którzy dostrzegają u swych pupilów takie reakcje mimiczne, jak śmiech, wstyd itp.)

Śmiech oczyszcza. Uwalnia od tego, co ciężkie. Od patosu, także od nienawiści. Oto scena, która wracała we wspomnieniach wielu jej świadków. W grudniu 1970 roku na ulicy Świerczewskiego w Gdańsku (dziś Nowe Ogrody) tłum milicjantów, przy Klubie Studentów Wybrzeża „Żak” (dziś siedziba Rady Miasta) tłum stoczniovców, w środku most kolejowy – pole niczyje wypełnione kamieniami, przekleństwami, rzadko spotykaną zaciekłością. W pewnym momencie na moście pojawił się, nie wiadomo skąd, pijak z mocno sfatygowaną choinką na plecach: zbliżały się święta. Nie stwarzał wrażenia kogoś, kto zachowuje kontakt z rzeczywistością, nie wiedział, że coś dzieje się na mieście. Zataczał się, ale nie przesadnie. Mamrotał coś do siebie, prawdopodobnie ćwiczył swą wypowiedź dla żony. Nastąpiła niewyobrażalna cisza, potem rozległ się gwałtowny śmiech z obu stron, po którym rozeszli się jedni i drudzy.

Przywołuję tę scenę nie tylko dlatego, że jest piękna, wręcz niesamowita. Pokazuje zarazem ten rodzaj komizmu, który, jak sądzę, nie jest osobiście bliski Dziemidokowi, jego wrażliwości i humorystycznej wyobraźni. Wystarczy poznać go nieco bliżej, wsłuchać się w to, co i jak mówi, wpatrzeć się w towarzyszący słowom tekst mimiczny, uśmiech, podniesienie brwi, by zobaczyć człowieka coraz bardziej świadomego kruchości, nietrwałości rzeczy, ludzi i siebie. Kogoś, kto wypełniony jest chyba nie chwilowym tylko poczuciem bezradności wobec tego, co przychodzi. Na przykład choroby swojej lub najbliższej osoby. Podczas

wykładu (*O światopoglądowym i aksjologicznym znaczeniu poczucia humoru*), wygłoszonego 8 listopada 2005 roku w Sali Mieszkańskiej Ratusza Starego Gdańska podczas konferencji na temat śmiechu, „[...] doprowadził do tego, że zebrani i pękali ze śmiechu i mieli łzy w oczach. [...] Pokazał śmiech szyderczy i serdeczny. Chichotał, drwił i ironizował, posuwał się do absurdu, by się w końcu nieśmiało uśmiechnąć”. Piszący te słowa organizatorzy konferencji zapomnieli wspomnieć, że nie tylko audytorium miało łzy w oczach, że spływały także po policzkach prelegenta, który wcale nie pękał ze śmiechu.

W swej książce pisze Dziemidok, że filozofowie podejmujący tematykę komizmu „w oczach wielu zasłużyli sobie na opinię ludzi pozbawionych poczucia humoru”. Dodaje, że jemu też – gdy powraca do problematyki, od której zaczynał swe badania pół wieku temu – o wiele mniej jest do śmiechu, niż wtedy, co może świadczyć o osiągnięciu stosownych kompetencji w tej mierze. Jedną z recenzji książki zatytułowana jest: *O humorze bez poczucia humoru*. Jeśli jej autorka nawiązywała do przytoczonego wyżej zdania, nie dostrzegła zawartej w nim przewrotności; jeśli zaś wyraziła swoje własne stanowisko, pokazała, że utożsamia humor z radością, ze śmiechem perlistym i dźwięcznym. A bywa przecież inny – melancholijny, podbarwiony goryczą, wyrażający się w półuśmiechu, autoironiczny, mądry. Ot, choćby taki, jaki właściwy jest Andrzejowi Poniedziałkiemu, skłaniający raczej do refleksji niż do zrywania boków. To humor wielkich komików kina niemego, Charlie Chaplina czy Bustera Keatona, którzy pokonywali śmiechem klęskę, starość. Humor Jokera z Batmana (niezapomniany

Jack Nicholson), który wypowiada pamiętną kwestię: „Śmieję się tylko na pozór. Moja radość jest powierzchowna. W głębi duszy płaczę”. Z czystej rozpaczy pisał swe humoreski Robert Walser. Zatem: bez radości może tak, ale nie bez poczucia humoru!

Można odnieść wrażenie, że Bohdan Dziemidok jest coraz głębiej zanurzony w sobie, w swoim życiu; i że nie ma w tym śladu narcyzmu. Rzeczywistość staje się dlań treścią przeżywaną, estetyczną w podstawowym sensie tego słowa (*aisthetikos* – odczuwający). Czerpie z siebie, coraz bardziej świadomy tego, że to, co dzieje się *hic et nunc*, dzisiaj, w ułamku chwili, nie jest codzienne ani powtarzalne. Że zatem konkretność doświadczenia jest czymś więcej, niż częścią całości, że sama jest całością, która wciąż się wymyka, pozostaje nieuchwytna poznawczo i egzystencjalnie. W poezji doświadczała w ten sposób konkretność Wisława Szymborska („kluski ze skwarkami”), w filozofii Jolanta Brach-Czajna („ścierka do podłogi”), w teatrze Tadeusz Kantor („krzesło”). Bardzo podobne, przekonywałem się o tym wielokrotnie podczas rozmów na przeróżne tematy, jest doświadczenie momentalności istnienia Bohdana Dziemidoka. Wspomnił kiedyś o żalu, że w swej twórczości tak mało mówił od siebie, zajmując się poglądami i teoriami innych myślicieli. Dopiero od niedawna, od kilku, może kilkunastu lat, próbuje to nadrobić, ujawniając, czasami w najmniej oczekiwanych momentach, detale biograficzne, przekonania, oceny. Podczas odbierania najwyższego gdańskiego wyróżnienia naukowego, dorocznej nagrody im. Jana Heweliusza (2004), przywoływał takie właśnie konkrety, mówiąc o starości, chorobach, o żonie – i o dzudo, które w młodości trenował, zdobywając liczące się stopnie („pasy”).

To właśnie różni go od przywołanej przed chwilą Wisławy Szymborskiej. Jej konkretność bytowa obejmuje wszystko, tylko nie ją samą. Jak ujął to Tadeusz Nyczek: nie pozwalała sobie i innym na „mazgajenie się”. Sprawy osobiste nie mogły być przedmiotem nawet przyjacielskiej rozmowy, ponieważ groziłoby to patosem, którego nie cierpiała. Tymczasem Bohdan Dziemidok, owszem, mówi chętnie o sobie. Wzrusza się sobą. Boli siebie. Nie jest to jednak „mazgajenie się”, wyjście z formy. Przed „mazgajeniem się”, przed patosem, chroni go ironia – czasami przybierająca postać Sokratejską („udawanie”, *eironeia*), częściej będąca wyrażeniem mającym przynajmniej podwójny sens, gdy żaden z nich nie jest odczuwany jako podstawowy. Tak rozumiana oznacza – poprzez swoją niedosłowność – skromność, niepewność będąca przeciwieństwem szyderstwa.

„Jeśli prawdą jest, że teoretyk komizmu jest ponurym osobnikiem pozbawionym poczucia humoru, to obecnie spełniam ten warunek [...]”. Bardzo podobną figurę retoryczną zastosował pisząc o szczęściu. Przywołuje postać Władysława Tatarkiewicza – swój punkt odniesienia w dziedzinie pluralistycznej estetyki – który odczuł potrzebę pisania o szczęściu w czasie drugiej wojny światowej, gdy doznawał bezmiaru nieszczęść („bo w nieszczęściu więcej się o szczęściu myśli niż w szczęściu”). Dziemidok, podobnie, uznaje swój obecny stan ducha za dostatecznie jasno wyjaśniający genezę rozprawy pt. *Teoretyczne i praktyczne kłopoty ze szczęściem*. Mówi tu już wyraźnie własnym głosem, formułuje wywiedzione z własnych doświadczeń i przemyśleń warunki, mogące sprzyjać osiągnięciu i zachowaniu dobrostanu:

1. Praca zawodowa będąca pasją – nie: udręką, nudą, cierpieniem.
2. Pozazawodowe formy zaangażowania (żeglarstwo, taniec...).
3. Miłość, rodzina.
4. Przyjaźń, uczciwy przyjaciel.
5. Brak wygórowanych oczekiwań od życia.
6. Brak wygórowanych oczekiwań od ludzi.
7. Brak nadmiernych oczekiwań od partnera życiowego.
8. Brak nadmiernych oczekiwań od siebie.
9. Uwolnienie się od zawiści.
10. Unikanie ludzi chorobliwie ambitnych.
11. Niemanifestowanie swych cnót i sukcesów (uniknięcie zawiści innych).
12. Okazywanie życzliwości wobec innych.
13. Nieoczekiwane wdzięczności za okazane dobro.
14. Radość z drobiazgów.
15. Poczucie humoru.

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI: dr, emerytowany wykładowca akademicki. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor ponad 300 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Wydał m.in. *Ojciec człowieka. Szkice afiniczne*, Wydawnictwo

Bohdan był wieloletnim dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii UG, gdy w nim pracowałem. Ja z kolei, co stanowiło przedmiot miłych przekomarzań, byłem kierownikiem Zakładu Etyki i Estetyki (później: Etyki i Aksjologii), którego on był pracownikiem. Mówi się, że właściwy wymiar rzeczy ujawnia się dopiero wtedy, gdy jej zabraknie. Przeniesienie się Hani i Bohdana do Warszawy potwierdza prawdziwość tego stwierdzenia. Po Lublinie to właśnie Gdańsk był dla Dziemidoka okresem najpełniejszej samorealizacji. W opublikowanych niedawno studenckich wypowiedziach wspomniany jest jako dydaktyk i myśliciel, który pozostał w pamięci swych słuchaczy. Niedawno ukończył książkę, która w znacznej części poświęcona jest starzeniu się, starości. Skoro jednak wcześniej znalazł w sobie dość powagi by pisać o komizmie, a później dość cierpienia, by zająć się szczęściem – widać, że pisze o starości, bo jest mu także obca.

słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2012; *Owoc tamtego grzechu*, Myślnik, Gdańsk 2013; *„Najgłębsze, spokojne morskie dno”. Próby antropologiczne*, Wydawnictwo Naukowe Katedra, Gdańsk 2014. Prowadził warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.